

Po premierze

NIETRUDNO się domyślić, że realizatorów teatralnej wersji „Czyż nie dobija się koni?” może do białej gorączki doprowadzić przywoływanie przy każdej okazji filmu Sidneya Pollacka. Świadomość tego wzmaga obeerzenie spektaklu. Tamto dzieło — zwarte i skończone — bazowało na innych elementach możliwych do wytuskania z książki Horace'a Mc Coya niż przedstawienie powstałe w Teatrze Osterwy. Pytanie tylko, czy reżyser Tadeusz Kijański i jego współpracownicy postawili — przepraszam za nachalne skojarzenie — na właściwego konia? I czy go nie dobili?

PRZEŁAMMY konwencje i rozpocznijmy od aktorów i to może nawet od „otoczki” głównych bohaterów. To dziwne: najlepsze są role wyraziste z pewnym przegięciem. Jacek Gierczak tylko dzięki temu zbliżył się do zakodowanego w świadomości odbiorców obrazu amerykańskiego konferansjera — menago, że do końca wykorzystał środki stosowane przez tych entuzjastycznych krzykaczy. Joanna Morawska mogła uwiarygodnić podstarzałą, zawiedzioną życiem a wciąż tęskniącą za wielką miłością i wielką karierą kobietę, dlatego, że nieco przestodziła jej postać i zbliżyła ją do kiczowatości masowej kultury. Monika Tyblewska, Witold Kopeć, Jerzy Kurczuk, chwilami Marek Fabian wpisali się w tę konstelację balansującą na krawędzi pop-artu i jarmarku. Reszta — może jeszcze z wyjątkiem Anny Świątlic-

kiej też przerysowującej rolę sufrażystki czy wręcz ją parodiującą — stanowi anturaz, który ma zagrać dyskotekę, szal-bal, rewię na luzie, ale coraz bardziej jest udawaniem tego wszystkiego. To taka ułomność polskiego teatru — najgorzej wypada wtedy, gdy spróbuje naśladować amerykańską swobodę. Luzu nie da

się udawać — z nim trzeba się urodzić.

Główni bohaterowie Gloria i Robert. Ten drugi — w interpretacji Henryka Sobiecharta — zadziwiająco młodzieńczy, wręcz chłopięcy, operuje subtelnymi środkami rozsiewając czar. Ale ona — Jolanta Rychłowska — to tylko neurotyczny kłębek nerwów — od początku do końca. Żadnego zróżnicowania, żadnego budowania podjętej na koniec z determinacją decyzji.

WIĘC mało czy wręcz nie ma rewii w tym spektaklu, nie ma też po pewnym czasie maratonu (co tak różni przedstawienie od filmu). Maraton schodzi na plan dalszy i oto nagle znajdujemy się na ziemi nierozpoznanej. Skoro zminimalizowano taniec, skoro nie tak znaczące jest wyczerpanie „zawodami”, skoro dla realizatorów przestają być ważne okoliczności tego maratonu (kryzys lat trzydziestych) i decyduje się na ponadczasową opowiad-

kę z morałem, to zaczynamy się zastanawiać o co tu chodzi. Skąd się bierze zdesperowanie Glorii? Może to tylko przypadek z okolic psychopatii? I skąd przekonanie Roberta, że trzeba ją zastrzelić, skoro wystarczyłoby dziewczynę podleczyć? Wszystko bodaj z decyzji reżysera, który z Mc Coya wypreparował dramat

Dobija się?

Glorii, ale tak go wyizolował, że straciło się uzasadnienie dramaturgiczne czynów dwójki bohaterów.

BYŁY w tym spektaklu momenty piękne jak ten pomysł (dobrze, że nie nadużyty) sceny przerwy w maratonie, gdy dialogi i monologi tancerzy — dobiegają z playbacku, co o dziwo, czyni ową scenę tajemniczo piękną. Nie widziałem też w teatrze równie dobrego wykorzystania lampy stroboskopowej jak tu w przejściach pomiędzy tańcem a „wypoczywalnią” i brzegiem morza. Ale to tylko szlachetne ozdobniki dramatu bez dramatu i dowód, że dobito tego źle wybranego konia.

ANDRZEJ MOLIK

Teatr im. J. Osterwy. Horace Mc Coy, „Czyż nie dobija się koni?” Reżyseria — Tadeusz Kijański; muzyka — Andrzej Korzyński; scenografia — Ewa Gdowiak; choreografia — Jacek Łumiński. Premiera — wrzesień 1991.